

# Sens bezsensu

Trzy 1961, 83

◆ Georges Schehade: „Historia fryzjera Vasco”. Przekład: Kazimierz Braun. Reżyser: Jerzy Kreczmar. Dekoracje i kostiumy: Piotr Potworowski. Muzyka: Zbigniew Turski. Prapremiera polska w Teatrze Współczesnym w Warszawie.

Ambicją Teatru Współczesnego jest prezentowanie publiczności stołecznej sztuk współczesnych, które zdobywają sobie rozgłos w świecie. Tym należy tłumaczyć chęć wystawienia utworów Ionesco, Behana i Pintera, tym także tłumaczy się próba ukazania sztuki piszącego po francusku Libañczyka, GEORGES'A SCHEHADE.

„HISTORIĘ VASCO” wystawił przed kilku laty w Paryżu Jean-Louis Barrault, któremu Schehade zawdzięcza w znacznej mierze swą sławę. Po „Historii Vasco” sukces odniosły jego „Flotki”, poświęcone walce przeciw niebezpieczeństwu atomowej zagładzie, zaś przed kilkoma zaledwie tygodniami wystawił Barrault w Theatre de France w sali Odéon, jego nową sztukę „Podróż”.

Na czym polega oryginalność tego zjawiska, któremu na imię Schehade? Wydaje mi się, że na dość niecodziennym i harmonijnym zespoleniu kilku nurtów współczesnej dramaturgii. Można bez trudu odnaleźć w „Historii Vasco” ele-

menty wywodzące się z niemieckiego ekspresjonizmu, z dramaturgii epickiej typu Brechta, Dürrenmatta i Frischa. Są one jednak zaprawione u niego abstrakcyjnym humorem i poetyką surrealistów. Pod niejednym względem „Historia Vasco” bliska jest „Nosorożcowi” Ionesco. Nawet postaci bohaterów obydwu sztuk mają cechy wspólne. Ale jest w tej sztuce jeszcze coś. To chyba śródziemnomorska liryka, opromieniona słońcem Bejrutu, Marsylii i miast prowansalskich i hiszpańskich. Wyraźnie słyszę w „Historii Vasco” echa poezji Garcil Lorki. Taki jest ten Schehade rozłożony na czynniki pierwsze, ciekawy, niejednorodny, a jednak oryginalny w tym stopniu, jaki powstał z różnych elementów.

A jaka jest sztuka? Zaczyna się raczej niedobrze. Wóz, jak z „Matki Courage”, niesamowite kruki, las, noc, czarny kapitan September, zwiariowany uczyony Cezar i jego ruda córka, bardzo piękna i ponętna, ani słowa. Do tego dźwięki sen, muzyczne krakanie, hałas,

zgiełk, szum, wizg. Nie bardzo wiadomo, o co tu chodzi, a właściwie prawie zupełnie nie wiadomo. Dopiero powoli odwołuje się do absurdu opakowania istotny sens sztuki. A ten nie jest wcale tak głupi. Oto mały fryzjer Vasco z Sosso lęka się wojny, nie chce wziąć w niej udziału. A jednak to on właśnie potrzebny jest generałowi Miradorowi, tylko on może wykonać najważniejsze zadanie bojowe. Mirador nie ma zaufania do bohaterów. Nie mają poczucia rzeczywistości. Dlatego zamierza powierzyć misję, od której zależy zwycięstwo, właśnie tylko tchórzowi. Nie znajduje zaś chyba konsekwentniejszego od Vasco.

Na tym pomysłem fabularnym opera Schehade antywojenną i antymilitarystyczną myśl sztuki. Ujawnia ją za pośrednictwem chaplinowskiej postaci małego, lirycznego fryzjera. I oto jeszcze jeden rodzaj tej sztuki. Jakże bardzo przypomina on chwilami Charliego. Ale jest w „Historii Vasco” nowy, własny ton. To absurdały dowcip, doprowadzona do ostatnich granic logika bezsensu. To co było u różnych pisarzy dawniej pustą igraszką słowną zostało tu (podobnie jak w „Nosorożcu”) użyte bar-

dzo celowo, dla wyrażenia bar-dzo konkretnej myśli.

Schehade nie szuka społecznych, ekonomicznych przyczyn wojen. Nie zdaje sobie sprawy, że kres wojnom może położyć zmiana ustroju społecznego, wypłnienie i wykarczowanie klasowych korzeni zła. W tym tkwi oczywiście słabość i ograniczonność jego sztuki. Rozprawia się natomiast z mitem fałszywego bohaterstwa i bohaterzczyzny.

Przedstawienie warszawskie ma sporo zalet. JERZEMU KRECZMAROWI udało się przede wszystkim precyzyjnie odczytać myśl autora. Szczególnie trzeci i czwarty obraz trafiają doskonale do świadomości widzów, są jasne i przejrzyste. Na wielkie pochwały zasługuje znakomita oprawa plastyczna PIOTRA POTWOROWSKIEGO. Jego dekoracje są wprawdzie raczej dwuwymiarowe, bardzo malarskie, słabsze w konstrukcji, ale niektóre obrazy oddają znakomicie nastroj niesamowitego snu, w jakim sztuka się rozgrywa. Świetlne skomponowane w kolorach kostiumy, łącznie z śliczną białą plamą parasola Vasco. Trafna jest także w nastrój i dźwięku konkretna muzyka ZBI-GNIEWA TURSKIEGO.

A wady? Też są, nie można zaprzeczyć. Przede wszystkim tempo. Stanowczo zbyt wolne, szczególnie w pierwszym i ostatnim obrazie. Reżyser zapominał, że jest to sztuka francuska, napisana lekkim piórem. Nie wolno jej celebrować. Sen musi być tu snem, a nie próbą niby to pogłębiłom filozofowania. Zebrałki tym scenom skrzydeł. Może było to także w części winą przekładu, jakby przyćmiewko, choć bardzo wiernego i starannego. Schehade jest poeta. Kazimierz Braun nim nie jest. To się czuło szczególnie w pierwszej scenie. Nie wszyscy aktorzy utrafiłi też w konwencje sztuki Schehade. MIECZYSLAW CZECHOWICZ był w roli kapitana Septembra nabył realny i krwisty, za mało w nim było lekkości i dowcipu. Postacie

Schehade utkane są z linnej materii. TADEUSZ FIJEWSKI odmalował się dopiero w obrazie czwartym. W obrazie pierwszym był jakis nieswój, suchy, mało zabawny. BARBARA WRZESIŃSKA ślicznie wyglądała, ruszała się z niezawodnym wdziękiem i była naprawdę w roli Małgosi bardzo poetycka.

Może przydałoby się jej trochę przyprawy śmieśności. Myślę, że skoro nie udało się reżyserowi liczyć i szybciej poprowadzić obrazu pierwszego i ostatniego (które stanowią ramę przedstawienia) lepiej było znacznie je skrócić.

Są jednak w tym spektaklu dwie świetne role, o których warto powiedzieć nieco więcej: to WIE-SŁAW MICHNIKOWSKI w roli tytułowej i ALEKSANDER BARDINI, jako generał Mirador. Michnikowski, bardzo chaplinowski, z wąskimi i lirycznym uśmiechem, prawdziwy człowiek i kwiakiem. Bardin, generał Mirador, jak z karykatury, a jednocześnie jak z tyficy. Miał coś z postaci hłemieckich oficerów z monokiem w oku. Jakże stworzył na ekranie niezapomniany Erik vom Stroheim, ale miał jeszcze coś więcej: zamyślenie człowieka, który stojąc na szczytach maszyny wojennej wie o niej znacznie więcej od swych podkomendnych, rozumiał jej bezsens, tragiczny i głupi. Jego monolog, rozmowa z Septembrem i z Vasco, to chyba najlepsze części przedstawienia.

Cóż jeszcze? Kilka pysnych epizodów: STANISŁAWA PERZANOWSKA, wiadoma, jak rzadko, zupełnie kama niż swytkie. TADEUSZ SUROWA, JANUSZ BYLCZYŃSKI, STANISŁAW BIELIŃSKI. I duża niespodzianka: TADEUSZ PLUCIŃSKI w bardzo dobrej, charakterystycznej roli sierżanta Caquot. Okazuje się, że Pluciński, to znakomity komik. Trzeba go tylko właściwie obsadzać.

Warto zobaczyć? Na pewno tak. Choć niejedno tu nuży, czy nawet chwilami nudzi, to jednak są fragmenty, które wynagradzają to z nawliwą.

ROMAN SZYDŁOWSKI